

”

Najlepszy thriller spiskowy od czasów *Kodu Leonarda da Vinci!*

LEE CHILD

PETER JAMES

ZABIJ,
ŻEBY GO ZDOBYĆ.

ZGIŃ,
ŻEBY GO OCHRONIĆ.

NIEZBITY DOWÓD

ALBATROS

1

Styczeń 2005

Bar w centrum Los Angeles wyglądał jak najgorsza speluna, czym zresztą wpasował się w nastrój Mike’a Delaneya. Jedyne wolne stołki przy barze rozdzielał namiętne całującą się parę w średnim wieku i pijanego gburę w kraciatej koszuli, dzinsach i butach roboczych, pochylonego nad kieliszkiem burbona.

Delaney przysiadł na popękany skórzanymsiedzeniu, uchwycił wzrokiem spojrzenie barmana i zamówił piwo. Na nieostrymskranie telewizora nad barem leciał jakiś mecz, głos ryczał na cały regulator, chociaż nikt nie oglądał. Pijak spojrzał na niego oczami rozmokłymi jak dwa ślimaki.

– Ja ssie chyba znam – wybełkotał pijak. – Jesseś z tego programu, no nie? Co kiedyś leciał. To ty, no nie?

Barman postawił przed Delaneyem piwo.

– Płaci pan gotówką czy otwiera rachunek?

– Rachunek poproszę.

– Ma pan kartę kredytową?

To był właśnie tego typu lokal.

Delaney wyciągnął ze zniszczonego portfela kartę American Express i położył na barze. Barman nakrył ją dłonią.

– Magik Mickey, no nie? – ciągnął pijak. – To byłeś ty, w telewizji.

– Pamięta pan ten program?

– Jasne. Pamiętam. Byłeś do bani.

– Dzięki, stary.

– Serio mówię. Ile to lat? Dziesięć?
– Mniej więcej.
– Taaa... – Mężczyzna dopił resztkę burbona. – Jeden wielki szajs. Nic dziwnego, że ssie zwalili, sso?

Delaney pociągnął długi łyk piwa i zignorował pytanie. Nie tylko jego program zwalili. Godzinę temu zostawił go agent.

– Wiesz, stary? – powiedział Al Siegel przez telefon, siedząc w swoim luksusowym gabinecie w Wilshire. – Powinieneś w końcu zrozumieć, że jesteś dinozaurem. Wypruwałem sobie flaki, żeby ci coś znaleźć, póki nie zszedłeś na psy. Zapomnij o karierze. Spójrz wreszcie prawdzie w oczy, dobiegasz sześćdziesiątki. Idź na emeryturę, przenieś się do Palm Springs, zajmij się golfem czy coś. Mam telefon, muszę go odebrać. Słuchaj, stary, przykro mi, ale taka jest prawda. Z nami koniec, jesteśmy kwita, jasne?

Taka jest prawda.

Rety, Mike Delaney dobrze o tym wiedział. Tutaj, w Fabryce Snów, człowiek odchodzi do lamusa po czterdziestce. Kiedy występował w Magic Castle, mało który z magików skończył trzydziestkę. Spieprzył ostatni kontrakt, który zdobył dla niego agent, prezentując numer z mikroiluzją na przyjęciu słynnego gwiazdora w Bel Air. Spalił sztuczkę, potem stracił zimną krew i zaczął grozić jakiemuś aroganckiemu dupkowi, który się z niego nabijał przy stoliku.

– Słyszysz, sso mówię? – ciągnął z uporem pijak. – Musisz przynajmniej wiedzieć, że byłeś gówniany. – Znowu wlepił w niego zamglony wzrok. – I wiesz sso? Wyglądasz też gównianie.

I czuł się gównianie.

Pijak pstryknął palcami na barmana.

– Jeszcze jednego podwójnego jim beama z lodem. – Odwrócił się. – Pijesz piwo? Piwo jest dla frajerów.

– Tak?

Barman postawił na barze szklaneczkę napełnioną po brzegi burbonem i lodem. Pijak wziął ją do ręki i podniósł.

– Powinieneś przerzusić się na porządną alkohol, taki jak ten, panie Kiepski Magiku. Zrówko.

Przechylił szklankę i łyknął potężny haust, po czym natychmiast go wypłuł.

– Jezu! – wrzasnął na barmana. – Coś ty mi nalał, do cholery? Zamówiłem jim beama. To nie burbon, tylko pieprzone piwo!

Barman – wysoki, smutny mężczyzna po siedemdziesiątce, który pracował w tym miejscu od zawsze – pokręcił głową.

– Przykro mi, proszę pana, ale nie ma pan racji. Może ma pan już dosyć?

– Mówię ssi, że to cholerne piwsko! Chcesz mnie otruć czy so?

Barman pokazał mu butelkę do połowy wypełnioną alkoholem.

– Nalałem panu z tego.

– Tak? To nalej jeszcze raz.

Rozdrażniony barman wyjął nową szklanę i nalał z butelki jim beama. Ze zdumieniem patrzył, jak naczynie napętnia się po brzegi piwną pianą, która przelewa się przez krawędzie i ścieka po ściankach na bar.

Mike Delaney uśmiechnął się do siebie, lecz nie odezwał ani słowem.

2

Kwiecień 2005

Piątkowy poranek Rossa Huntera rozpoczął się od kaca, chociaż obiecywał sobie, że więcej do tego nie dopuści. To samo obiecywał sobie tydzień temu i dwa tygodnie temu. A także każdego innego piątku od półtora roku, kiedy został stażystą w dziale wiadomości „Argusa”.

Nie podejrzewał jeszcze, jak bardzo dzisiejszy dzień będzie się różnił od innych.

Dobiegając dwudziestu trzech lat, Ross był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach i ładnej, lecz poważnej twarzy, jakby wiecznie wszystko analizował, co zresztą na ogół było prawdą. Ale nie teraz. Teraz z trudem mógł w ogóle myśleć, jakby w jego głowie tkwił wbity topór. Na oślepie wstał z łóżka, ziewnął i klął, że znowu to sobie zrobił, ruszył do łazienki w poszukiwaniu paracetamolu. Co tydzień w czwartek wieczorem pozwalał się wyciągnąć kolegom na jednego drinka do pubu Coach House w centrum Brighton, głównie po to, aby nie uznali go za nietowarzyskiego mruka, i co tydzień wracał do domu, zataczając się na nogach. Była też inna przyczyna jego regularnych piątkowych kaców – młoda dziennikarka kryminalna pracująca razem z nim w gazecie, Imogen Carter. Piekniennie mu się podobała, lecz ją najwyraźniej bardziej interesował jeden z zastępców redaktora naczelnego. Potrafiła też lepiej się kontrolować przy kieliszku niż jej koledzy. Mimo to Ross uważał, że pomału dziewczyna zwraca na niego coraz więcej uwagi i nawet zaczyna z nim troszkę flirtować.

Dzięki za kolejnego kaca, Imo, i za okazję obserwowania, jak oddalasz się na postój taksówek z pieprzonym Kevinem Fletcherem.

Ross niedawno skończył dziennikarstwo na Goldsmiths w Londynie i rozpierała go ambicja. Codziennie rano aż palił się do pracy w dziale wiadomości. Jak to zwykle ze stażystami bywa, wysyłano go praktycznie do wszystkiego: wypadków drogowych, śmierci łóżeczkowej, pożaru, przesłuchań sądowych, prezentacji charytatywnej, a nawet tak beznadziejnie nieciekawych wydarzeń jak dzień otwarty w szkole – wszystko, żeby szlifować umiejętności dla tej szacownej lokalnej gazety.

Miał nadzieję, że ćwiczenia na siłowni, a potem długa jazda pod górę na rowerze pomogą mu otrząsnąć się z alkoholowego odurzenia. Wkładając spodnie od dresu i zawiązując buty, słuchał wiadomości płynących z włączonego radia w budziku i szukał materiału na wielką sensację, na artykuł, którym mógłby wyrobić sobie nazwisko i spełnić marzenia o pierwszej stronie ogólnokrajowego dziennika z dołączoną notką o autorze.

Połknął tabletki i popił je wodą w drodze do małej kuchenki mieszkania na drugim piętrze przy Portland Road. Nudności ani łupania w głowie nie łagodziły zwiertzałe zapachy jedzenia gotowanego poprzedniego wieczoru w hinduskim barze mieszczącym się na parterze. Po kilku gryzach banana zrobiło mu się trochę lepiej. Popijając je sokiem jabłkowym, spojrzał na przyklejoną do blatu karteczkę z przypomnieniem: *Kartka urodzinowa dla taty*. Później gdzieś ją kupi.

Zszedł na dół, minął swój rower przypięty kłódką w holu i wyszedł w wilgotną, deszczową ciemność.

Po dziesięciu minutach energicznego biegu dotarł do siłowni tuż po siódmej. W sali o lustrzanych ścianach, śmierdzącej potem i środkami czyszczącymi, było już kilkanaście osób. Większość ćwiczyła na orbitrekach, bieżniach i rowerach stacjonarnych, kilka wyćiskało ciężary lub robiło brzuszki, ktoś miał indywidualne zajęcia z trenerem. Muzyka Queen dudniła zbyt głośno jak na bolącą głowę Rossa. Wszedł na orbitrek i włączył go, żeby rozpocząć swój dwudziestominutowy program ćwiczeń.

Przyspieszył kroku, obserwując rosnące tętno – sto dziesięć...

sto dwadzieścia... sto trzydzieści... gdy nagle przestraszony usłyszał głos swojego brata, wołający go po imieniu. Tak głośno i blisko, jakby Ricky stał tuż obok niego.

Tylko że to niemożliwe. Jego brat mieszkał w Manchesterze, czterysta kilometrów od Brighton, pracował jako asystent kierownika hotelu. Rzadko rozmawiali przez telefon, ale Ricky przysłał mu dzień wcześniej maila w sprawie prezentu dla taty na sześćdziesiąte urodziny, które obchodził za tydzień.

Nagle Ross poczuł, jakby z poruszających się ramion orbitreka wystrzelił prąd elektryczny, który od dłoni przebiegł przez całe jego ciało. Nie mógł się poruszyć. Stopy znieruchomiały na pedałach, zawiroowało mu w głowie, jakby pędził po spiralnej zjeżdżalni w wesołym miasteczku. W przebiegsu paniki przemknęło mu przez myśl, że traci przytomność wskutek gwałtownego spadku cukru we krwi.

A może to zawał?

Pokój zafalował, przed jego oczami rozmywał się obraz rządów stalowoszarych urzędów.

Wessało go w długi, ciemny tunel. Chwycił się rozpaczliwie ramion orbitreka, bo jego ciało zaczęło szaleńczo dygotać. W oddali przed sobą zobaczył światło, z sekundy na sekundę przybierające na sile. Przed oczami przebiegały mu obrazy. Płód. Niemowlę. Twarz mamy. Twarz taty. Piłka rzucona w powietrze. Biała tablica i nauczyciel wrzeszczący na niego z markerem w dłoni. To jego życie – uprzytomnił sobie. Przed oczami przewija mu się całe życie.

Umieram.

Kilka sekund później otuliło go światło na końcu tunelu. Było ciepłe, oślepiające. Unosił się na materacu dmuchanym na płaskiej powierzchni oceanu. Zobaczył nad sobą twarz Ricky'ego.

– Wszystko w porządku, Ross, no nie? Między nami wszystko gra?

Nie znosił swego brata, od kiedy pamiętał. Nie cierpiał tego, jak wyglądał, jak mówił, jak się śmiał, jak jadł. I wiedział dlaczego. Ponieważ Ricky był jego bliźniakiem. Za każdym razem, kiedy go widział, miał wrażenie, jakby patrzył w lustro.

Bliźniacy powinni się kochać. Powinna ich łączyć szczególna, nierozzerwalna więź, lecz Ross nigdy tego nie czuł. Przeciwnie, czuł tylko głęboką, przemożną niechęć. Główną przyczyną był fakt, że

rodzice zawsze bardziej hołubili Ricky'ego, a on nawet tego nie uważał.

Kiedy Ross dorósł na tyle, by wyprowadzić się z domu, wyjechał tak daleko od brata, jak to tylko możliwe – na inną uczelnię, do innego miasta. W pewnym okresie kusiło go nawet, żeby zmienić nazwisko.

Teraz Ricky odpływał, stopniowo roztopiał się w białym świetle. Odwrócił się do niego i wyciągnął ramiona, jakby rozpaczliwie chciał dosięgnąć jego dłoni i uchwycić go, lecz Ross uciekał za szybko, niczym pływak wyciągany na pełne morze przez silny przybrzeżny prąd.

– Między nami wszystko gra, prawda, Ross?! – zawołał Ricky niemal rozpaczliwie.

– Wszystko gra – odpowiedział.

Światło połknęło jego brata i na moment go oślepiło.

Z góry patrzyły na niego twarze. Oświetlenie się zmieniło, Ross poczuł smród potu, dywanu, niemytych włosów. Słyszał dudniącą muzykę i łomotanie własnego serca.

Obok niego ktoś klęczał.

– Nic panu nie jest?

Rozejrzał się oszołomiony. W przypiływie paniki przemknęło mu przez myśl, że umarł.

Czyjeś dłonie pomogły mu wstać, poprowadziły go do ławeczki i podtrzymały, kiedy siadał.

Nad nim stał muskularny mężczyzna z plastikowym kubkiem w dłoni.

– Proszę to wypić – powiedział i Ross uprzytomnił sobie, że to jeden z trenerów na siłowni.

Potrząsnął głową, odsunął od siebie kubek.

– Może przesadził pan na tym orbitreku? – zapytał jakiś głos.

– Nie, nie, ja...

Urwał zdezorientowany.

– Zadzwoń po lekarza? – zapytał ktoś inny.

Ross ponownie pokręcił głową.

– Nie, nic mi nie jest, naprawdę. Wszystko w porządku. Może potrzebuję cukru czy coś...

– Proszę jeszcze posiedzieć, dopóki nie poczuje się pan zupełnie dobrze.

Ktoś podsunął mu łyżkę z miodem i Ross wziął ją do ust.

– Jest pan cukrzykiem? – spytał inny pracownik siłowni, patrząc na niego z troską.

– Nie.

Minęło dziesięć minut, zanim poczuł się na tyle pewnie, by wstać o własnych siłach. Wkrótce potem, przekonawszy wszystkich, że nic mu nie jest, wyszedł z siłowni i oszołomiony ruszył z powrotem w stronę domu, nie zauważając deszczu, zimna ani niczego, co się wokół niego działo. Kiedy wchodził po schodach, miał wrażenie, jakby wspinał się na wielką górę.

Powiedział ludziom na siłowni, że nic mu nie jest, ale w rzeczywistości był skrajnie wyczerpany i czuł się okropnie. W chwili kiedy otwierał drzwi do mieszkania, zadzwonił jego telefon. Wyjął z kieszeni wibrującą komórkę i spojrzał na wyświetlony numer. Nie znał go.

– Halo? – odebrał.

W odpowiedzi usłyszał łamiący się kobiecy głos.

– Ross? O Boże, Ross?

To była dziewczyna Ricky’ego, Sindy.

– Sindy? – powiedział, cały czas trochę rozdygotany. – Cześć, co... co się dzieje?

Dziewczyna wybuchła płaczem. Przez kilka sekund słuchał jej szlochu, zanim w końcu wzięła się w garść.

– Ricky...

– Co się stało?

– Przed chwilą była policja. Ricky poszedł biegać do parku i... przewróciło się na niego drzewo. Pół godziny temu. Przygniotło go. O Boże, Ross, Boże, on nie żyje!

3

Lipiec 2009

Po latach bombardowań i nieustających walk na ulicach w Lasz-kargah nie ostał się ani jeden nietknięty hotel, a pracownicy tych, które tu kiedyś stały, albo zginęli z rąk talibów, albo dawno uciekli. Ze względów bezpieczeństwa, zwłaszcza z powodu porwań dziennikarzy, z których niemało stracono, miasto zostało uznane za strefę zagrożoną. Członkowie międzynarodowych ekip prasowych, którzy się tu zapuszczali, mieszkali w namiotach na obrzeżach miasta, na terenie ogrodzonym białym murem, stanowiącym bazę sojuszu w prowincji Helmand.

Wszystkim dziennikarzom radzono, aby w miarę możliwości wtapiali się w tłum – zapuścili brody, wkładali beżowe ubrania, nie wychodzili nigdzie w pojedynkę, a przede wszystkim nie nosili żadnych prasowych atrybutów, chodząc bez eskorty, ponieważ to by ich wystawiło na cel porywaczy.

„Bliźniaczy brat piekła”, napisał w SMS-ie do żony Ross Hunter wkrótce po przyjeździe. A właściwie próbował napisać. Trzeba tu było przez cały dzień nieustannie ponawiać próby, by w końcu za którymś razem udało się wysłać wiadomość. W odróżnieniu od wielu bardziej doświadczonych reporterów dla Rossa było to pierwsze doświadczenie w strefie wojennej i w chwili obecnej miał szczerzy zamiar, żeby pozostało ostatnim. Strach nie opuszczał go ani na chwilę, niemal przez cały dzień słońce zasłaniał gęsty dym ognia artyleryjskiego oraz płonących budynków. W powietrzu unosił się dławiący smród rozkładających się ciał, ścieków i kordytu, a wezwawa-

nia muezinów na modlitwy, rozlegające się pięciokrotnie w ciągu dnia, tonęły w nieustannym łoskocie śmigłowców.

Ross usiadł na łóżku w sali sypialnej i drapiąc się po wiecznie swędzącej brodzie, przez satelitarne łącze komórkowe próbował dokończyć na laptopie ostatni artykuł dla „Sunday Timesa”. Na domiar złego czuł się trochę jak zdrajca. Rok temu napisał pochwalny artykuł o pewnym chłopcu ze swojej dawnej szkoły. Szereg lat temu chłopak stracił w bitwie rękę i oboje oczu, a mimo to zdołał odbudować swoje życie, ożenić się, spłodzić dwoje dzieci i nawet jeździć na nartach. Ross wychwalał w swoim tekście cichy heroizm walczących oddziałów.

Artykuł wywołał entuzjastyczną reakcję dowództwa armii, które zaprosiło go, aby na własne oczy zobaczyć strefę działań wojennych i poznać walczących tam żołnierzy. Sprowokował jednak również lawinę maili od tych samych żołnierzy na różnych szczeblach drabiny wojskowej. Niektóre z listów podpisane były prawdziwymi nazwiskami, lecz większość przychodziła anonimowo i opisywała przeżające historie świadczące o tym, że rząd brytyjski lekkomyślnie szafuje życiem walczących i przyczynia się do wielu niepotrzebnych śmierci, wysyłając zły jakości sprzęt wojskowy lub wysyłając go za mało, rzecz jasna, z powodu oszczędności budżetowych.

„Sunday Times” zorganizował niezbędne dokumenty i opłacił Rossowi obowiązkowy trzydniowy kurs Przetrwania w Nieprzyjaznym Otoczeniu, po którym Ross przyleciał do Afganistanu okrężną trasą transportowym samolotem wojskowym C-130 Hercules. Zażądał od gazety, by nie drukowali żadnych krytycznych materiałów, dopóki nie wróci do kraju cały i zdrowy. Nie miał ochoty robić sobie wrogów z ludzi, którzy odpowiadali tu za jego bezpieczeństwo.

A szybko się przekonał, że jest o czym pisać. Całą prawdę o traktowaniu brytyjskich oddziałów przez ich własny rząd. Lista obejmowała zacinające się karabiny, wozy opancerzone ze słabym pancerzem, który nie chronił przed minami lądowymi, brak sygnałów świetlnych zabezpieczających przed ostrzałem własnych wojsk.

W swoim ostatnim doniesieniu Ross zacytował – anonimowo, na żądanie autora – jednego z wyższych rangą oficerów, który porównał dostarczany sprzęt do staromodnych telefonów komórkowych, które

dawno wyszły z użycia. Czary goryczy dopełniał fakt, że niewiele obecnie okazywano współczucia, wsparcia czy opieki poważnie rannym, a nierzadko dożywotnio okaleczonym żołnierzom po powrocie do kraju. Koncentrując się na pracy, Ross usiłował nie zwracać uwagi na daleki – a czasem niepokojąco bliski – terkot strzałów, brzęk łusek i sporadyczne wybuchy granatów, które nie cichły nawet w nocy.

Większość korespondentów sprawiała wrażenie starych kumpli, łącznie z fotografem, którego mu przydzielono. Czuł się przy nich jak obcy.

Kilku grało teraz w pokera kartami, które widziały lepsze dni. Ślamazarnemu sufitowemu wentylatorowi jakimś cudem udawało się miesić gorące, wilgotne powietrze w pokoju w taki sposób, żeby go nie schłodzić czy choćby poruszyć. Ross siedział spocony, ubranie się do niego kleiło, rozpaczliwie potrzebował kolejnego zimnego prysznicu, chociaż brał go kilka godzin temu. W ciągu tych dwóch ostatnich tygodni niewiele sypiał, chodził ciągle zmęczony, ze ściśniętym żołądkiem ze strachu podchodzącym pod gardło.

W tej chwili jednak wszystkie te odczucia zagłuszał gniew. Gniew na gwałty i masakry, dokonane przez talibów na kobietach i dzieciach. Gniew wywołany tym, co zobaczył wczoraj w domu, do którego weszli z oddziałem żołnierzy: starca powieszonego na prowizorycznej szubienicy, nagie zwłoki młodej kobiety z poderżniętym gardłem, leżące pod nim na podłodze. Usłyszeli kobiety płacz i znaleźli żonę mężczyzny ukrywającą się w szafie na piętrze. Powtarzała w kółko tylko jedno słowo, które przetłumaczył Rossowi afgański żołnierz.

Dlaczego?

Gdzie jest Bóg, zastanawiał się? Bawi się, obserwując tę jatkę?

Tu, w Afganistanie, patrząc na kolejne mrozące krew w żyłach okropności, można było naprawdę dojść do wniosku, że Bóg ma spaczony umysł. Że stworzył ten świat ku własnej perwersyjnej przyjemności, aby się przekonać, ile jeszcze pokładów człowieczeństwa może z siebie zedrzeć i odrzucić stworzony przez niego człowiek.

Leżąc w środku nocy w łóżku ze świadomością, że w każdej chwili w namiot dziennikarzy może trafić pocisk i roznieść ich

wszystkich na strzępy, Ross włożył w uszy słuchawki i słuchał muzyki, by zagłuszyć wszystkie inne odgłosy. Imogen, którą poślubił dwa lata temu, ułożyła mu na podróż playlistę z jego ulubionych zespołów – Maroon 5, The Fray, Kaiser Chiefs – oraz całe mnóstwo country: Davida Allana Coe, Williego Nelsona, Patsy Cline.

W nocy przed atakiem jak co wieczór wysłał do niej SMS.

Tak mocno Cię kocham, skarbie. Nie chciałbym, żebyś tu była, bo nikomu tego nie życzę, ale myśl o Tobie pozwala mi przeżyć dzień i noc. Próbowałem czytać tę poezję wojenną, którą mi dałaś, ale to za smutne. Zwłaszcza „Jeśli zginę, pomyśl o mnie tylko to jedno”. Bo on potem naprawdę zginął. Marzę, żeby znowu znaleźć się w Twoich ramionach. Widziałem prawdziwe potworności. Jak ludzka istota może robić takie rzeczy? Kocham Cię. XX

Ku jego radości SMS przeszedł za pierwszym razem, co zdarzało się wyjątkowo rzadko.

Następny dzień zapisze się na zawsze w pamięci Rossa. Piątek siedemnastego lipca. Siły sojuszu w końcu zwietrzyły zwycięstwo. Talibowie się wycofywali. Wysłano dwa oddziały do zabezpieczenia rejonów miasta, z których poprzedniego dnia wyparto wrogie siły. Dziennikarzom powiedziano na odprawie, że będą mieli okazję obejrzeć i sfotografować kolejne bestialskie akty talibów, ale ostrzeżono ich również, że w dalszym ciągu duże niebezpieczeństwo przedstawiają ukryci snajperzy.

Ross przedyskutował sprawę ze swoim fotografem, Benem Hainesem, dowcipnym twardzielem, weteranem kilku poprzednich wojen, i razem zdecydowali, że w towarzystwie dwudziestu żołnierzy Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa ONZ oraz kilkunastu miejscowych wraz z przewodnikami, ochraniających grupę dziennikarzy z całego świata, niebezpieczeństwo jest stosunkowo niewielkie. Dla Rossa było to coś nowego, a udział w prawdziwej

akcji to duża szansa na rozwój jego kariery. Potrafi szybko się uczyć.

O siódmej rano wyruszyli przez zrujnowane miasto; w wilgotnym powietrzu unosił się zjeżdżały odór rozkładających się ludzkich zwłok, śmigłowce wisiały nisko nad głowami niczym gigantyczne karaluchy. Ross i Haines szli w hełmach, mundurach polowych i kamizelkach kuloodpornych, na które nałożyli kamizele z napisem PRASA wydrukowanym na piersi i plecach. Ze wszystkich stron otaczały ich wyblakłe budynki usiane dziurami po kulach i bombach oraz zjeżone ruiny z agresywnymi graffiti.

Zaczęło się bez ostrzeżenia, gdy tylko wyszli spod osłony wąskiej uliczki na centralny rynek – grad ostrzału zdawał się sypać ze wszystkich stron naraz.

Zasadzka.

Przez kilka sekund Ross stał jak wryty, jakby w pierwszej chwili ciekawość przewyciężyła strach. Potem rakietą zmiotła połowę głowy idącego przed nim Afgańczyka, w jego stronę poleciały rozbryzgi krwi i mózgu. Niedaleko wybuchł granat. Ross poczuł uderzenie eksplozji, zobaczył żołnierzy, dziennikarzy i fotografów padających na ziemię. Chwilę potem powietrze rozerwała kolejna eksplozja, po piaszczystej ziemi potoczyła się ludzka głowa z oczami i ustami otwartymi ze zdumienia.

Ben przykucnął z kamerą w rękach i kręcił wszystko, co się działo, lecz nagle wrzasnął z bólu i zaczął tarzać się po ziemi niczym obłąkany, wirujący derwisz.

Ross rozglądał się ogłupiały z przerażenia, dookoła widział tylko rozpryski ognia. Z dachów jednopiętrowych domów mieszkalnych. Z okien. Po lewej stronie stał wysoki, zbombardowany szkielet dawnego banku, pozbawiony nawet drzwi wejściowych. Ross popędził w tamtą stronę. Powietrze gęstniało od zaciekłych strzałów i wybuchów, pociski wzbijały fontanny piachu i odłamki kamieni. Wbiegł do ciemnego banku i zaczął się gorączkowo rozglądać.

Za jego plecami nadal szalała strzelanina.

Zatrzymał się i spojrzał za siebie... Prosto w oczy Bena Hainesa, który leżał na ziemi w kałuży krwi, płynącej z przestrzelonego boku. Niedaleko leżała kamera, próbował się do niej doczołgać, ale nie mógł.

– Ross! Pomóż mi! Pomóż mi! Na miłość boską, pomocy! – krzyczał rozdzierająco zrozpaczonym głosem.

Dookoła leżeli żołnierze, dziennikarze, kamerzyści. Niektórzy bez ruchu, inni skręcali się lub czołgali po ziemi.

Rozległa się głośnie seria strzałów i kilku przestało się poruszać.

– Ross! – wrzasnął Haines. – O Boże, pomóż mi!

Ross wybiegł na dwór i ruszył zygzakami, tak jak go uczono na szkoleniach. Nie myślał o niebezpieczeństwie, myślał tylko o tym, żeby zrobić dla przyjaciela wszystko, co w jego mocy, zaciągnąć go w osłonięte miejsce. Lecz kiedy brakowało mu jeszcze kilku metrów, by dopaść do Bena, wybuchła następna eksplozja z karabinu maszynowego, Haines podskoczył jak szmaciana lalka, pociski rozerwały na nim ubranie, trafiony kulą hełm na głowie odleciał w powietrze, a ułamek sekundy później kolejny pocisk odstrzelił fragment czaszki i głowa fotografa opadła bezwładnie w piach.

Wstrząśnięty Ross odwrócił się i pognął z powrotem do budynku. Usłyszał kolejne strzały, następny brzdęk kul, seria z karabinu zryła przed nim brzdęk ziemi. Coś zadzwoniło o jego hełm. W prawej stopie poczuł ostry ból, a kiedy dopadł do wejścia, zatoczył się, jakby go ktoś młotem uderzył w głowę, kamienna podłoga rzuciła się na niego i grzmotnęła go w twarz.

Musi się podnieść.

Musi.

W jego kierunku biegli talibscy wojownicy w chustkach, ściskając w rękach rozbłyskające AK-47.

Dookoła brzęczały pociski.

Skulony wpadł do środka, zataczając się zygzakami w wyścigu ze śmiercią. Minął biurka, komputery pokryte kurzem i drobnym gruzem. Przeskoczył przez kontuar kasjera, przykucnął po drugiej stronie. Czekał. Bolała go prawa stopa, jakby ją przebił żelazny kołec, dudniło mu w głowie. Zgubił gdzieś hełm.

Usłyszał na dworze jeszcze jedną, ostrą, lecz krótką serię z karabinu, a potem zapadła nagle, cudowna cisza.

Nie dobiegał go żaden odgłos kroków.

Zakręciło mu się w głowie. Podniósł wzrok. Sufit wirował, kołysał się. Miał wrażenie, jakby z głowy odpłynęła mu cała krew. Znowu

podłoga uderzyła go w twarz, lecz on już tego nie poczuł. Leżał bez ruchu.

Obudził go pisk. Nie miał pojęcia, ile upłynęło czasu. Otworzył oczy i w gęstym półmroku spojrzął prosto w pysk szczura wielkości królika.

– Spieprzaj – syknął.

Zwierzę czmychnęło w mrok.

W oddali rozległ się potężny wybuch.

Kolejna bomba w samochodzie?

Łupało go w głowie, z pragnienia zaschło mu w ustach i gardle. Dźwignął się na kolana i zaczął nasłuchiwać. Przypomnił sobie: leży za biurkiem kasjera, przez które przeskoczył, uciekając. Teraz wszędzie panowała cisza. Spróbował wstać, ale stopę rozdarł okropny ból, cały but oklejała dookoła zaschnięta krew. Podniósł rękę, żeby odgarnąć włosy, i poczuł na palcach coś lepkiego – dłoń też miał zakrwawioną.

Dopiero teraz zaczął sobie wszystko przypominać i aż zadrżał z grozy.

Żyję.

Powoli, ostrożnie zaczął się podnosić, wyrzwał nad kontuarem. W oddali usłyszał wezwanie na modły. Za drzwiami majaczył słaby blask dziennego światła.

Spojrzął na zegarek. Dziewiętnasta trzydzieści. Jezu, było tuż po siódmej rano, kiedy... kiedy...

Z trudem dowlóknął się do drzwi i wyrzwał na dwór. Wszędzie na ziemi leżały ciała – kilku żołnierzy sojuszu, kilku dziennikarzy i kilkunastu talibów. Popatrzył na fotografa, który był jego partnerem w ciągu tego okropnego miesiąca.

Ben Haines.

Wokół ciał już roily się muchy.

Właśnie miał wyjść z budynku, gdy nagle usłyszał głosy.

Zamarł.

Głosy przybierały na sile. Zbliżały się.

Whięął z powrotem do środka, minął puste stanowiska kasje-

rów, dotarł w głąb sali. Otworzył drzwi, za nimi kamienne schody prowadziły w dół. Przeszedł i po cichu zasunął za sobą ciężkie rygle, po czym szybko zbiegł na dół. Jedno piętro, dwa piętra. Upał stawał się tu mniej dotkliwy. Zatrzymał się przed dużym sejfem, drzwi z wielkimi obrotowymi uchwytyami były lekko uchylone.

Prawie minutę zajęło mu otwarcie ciężkiego skrzydła na tyle, żeby mógł się wśliznąć do środka. Poświecił sobie komórką, szukając jakiejś klamki po wewnętrznej stronie drzwi, ale niczego nie znalazł. Przyciągnął więc je na tyle, na ile się dało.

Stał nieruchomo, na wszelki wypadek wyłączył w telefonie dźwięk, chociaż urządzenie i tak pokazywało brak zasięgu.

Serce waliło mu w piersi tak głośno, że chyba nie usłyszałby żadnego innego dźwięku. Przytknął ucho do cieniutkiej szparki między drzwiami a futryną sejfu i nasłuchiwał odgłosów z góry. Czy ktoś nie wali do drzwi, które zaryglował dwa piętra wyżej?

Niczego nie słyszał.

Trzęsąc się, spojrzął na ekran komórki. Imogen nie odpowiedziała na ostatniego SMS-a. Czyżby wiadomość nie dotarła?

W głowie dudnił mu przeraźliwy głos fotografa wołającego o pomoc. Nie mógł odgonić sprzed oczu obrazu skręcającego się człowieka, próbującego się czołgać. A potem fragmentu czaszki zdmuchniętego przez pocisk.

Z trudem się powstrzymał, żeby nie zwymiotować. Ze wstrętu i strachu.

Usiadł na twardej, gołej podłodze pustego sejfu. Ból rozsadał mu głowę, przeszywał prawą stopę. Męczyło go pragnienie, nie miał w ustach ani kropli wody od rana, odkąd wyruszyli.

Zdjął but i skarpetkę, przyciągnął do siebie nogę i poświecił komórką na stopę. W podbiciu, kilka centymetrów nad palcami, widniał poszarpany, zakrwawiony otwór, a drugi, jeszcze bardziej pokiereszowany, był w podeszwie, którą pocisk prawdopodobnie wyszedł. Podniósł dłoń do głowy i wymacał niewielkie wgłębienie, jakby rowek nad prawą skronią.

Musiał dostać dwa razy.

Gdzieś w budynku znajdują się pewnie łazienki i kuchnia, powinien znaleźć tam wodę i może jakąś apteczkę. Później pójdzie

poszukać, kiedy uzna, że jest już dość bezpiecznie, by opuścić kryjówkę.

Zwinął się na podłodze w kłębek i zasnął.

Dziesięć minut później obudziło go coś pełzającego mu po twarzy.